

## Wyznania szczerego entuzjasty teatru

# Tuleja nie zna łez

**K**rzysztof Jędrysek, aktor, a w istocie tragik, o którym naród nasz słusznie za Krystyną Prońko szepce nocami: Jesteś lekiem na całe zło i nadzieją na przyszły rok - znów nie został wysłuchany. W wyreżyserowanym przez Giovanniego Pampiglione „Chorym z urojenia” Moliera Jędrysek gra Pana Wonnego - technika lewatywy. Gra? Wolne żarty! Technik? Nie bądźmy żałośni! Z tego wątpliwego epizodu Jędrysek czyni niezapomnianą perłę, w parę minut daje wstrząsający pokaz ludzkiej nadziei, która się z powodu obojętności świata na dno czarnej rozpaczycy stacza.

Biel zębów Jędryska i żółć w dyndającej tuż przy jego uchu butli to harmonia kolorów godna Moneta! Niebiańsko wijące się ciało Jędryska i długi, wychodzący z butli wąż gumowy to nie druga, lecz pierwsza Grupa Laokoona! A koniec węża, ta hipnotyczna, czarna, czterdziestocentymetrowa tuleja, co drży w fachowej garści Wonnego? Tak jest, Teresa Orlovsky, rodaczka nasza, szepce: Jesteś gwiazdą w ciemności, mistrzem świata w radości. Oto cały ty! - po czym wraca do zawodu. Słusznie, bo Wonnę Jędryska to nie żaden technik lewatywy. To mag irygacji, księżę nagłych przypliwów i finalnych „Wodogrzotów Mickiewicza”, bóg speleologii zegarmistrzowskiej, choć miękkiej przecież. Przybywa gdzieś w środku przedstawienia. Przychodzi, by wejść i wyjść, czyli przepłukać ociężały świat, przybywa, by przez czarne jamy tego już prawie hipopotamiego cielska przepuścić ocalający płyn, który wypłucze wszystkie zbędne tony ołowianych ingrediencji, ulży, pozwoli wreszcie po ludzku podnieść nogę. Jędrysek wręcz perliście nakłania świat do ozdowieńczej pochopności, perliście kleci portret wielkiej nadziei wielkiego lewatywca. Ja, naród i Orlovsky szepcemy: Jesteś alfą, omegą, hymnem, kołędą. Oto cały ty! Andrzej Grabowski, który do pojawienia się lewatywy zmienił postać tytułową w Maczuga Herkulesa z Pieskowej Skąły, robi skłon i zarzuca szaty na plecy. Czarna tuleja Jędryska nieomylnie namierza cel. Zaciskamy kciuki - czas najwyższy, by się udało...

Tak, czas był najwyższy, bo zdumienie moje było tak ciężkie, jak świat na scenie. Otów panował okrutny, miażdżył wszystko, Molierowską lekkość i gorzkość, sens słów, rytmy fraz, dowcip i wcale nieśmieszne dno dowcipu - wszystko było doszczętnie rozsmarowywane na teatralnych dechach. Aktorzy, niczym skamieliny owadów, wolno dryfowali w jakimś starym butaprenie. Wnętrznosci tego świata nieuchronnie zarastały tonami zbędnej mazi. Przepraszam, nie mówię prawdy całej. A cała jest taka, że tylko Natalia Strzelecka przywróciła mi radość teatru, czyli życia. Jej rola Ludwisi to w całej tej ponurej historii błysk do tyła ostry, że chętnie przeceniam je-

go moc. Miękki, lekki, żywy gest; normalne oko normalnej kobiety i jeszcze ta orzeźwiająca mnie jej radość mówienia słów Moliera! Rzecz jasna, błysk ten nic nie ma wspólnego z wejściem wirtuoza wejść i wyjść, o którym naród szepce: Robisz małpę - i mam w domu cyrk. I jest mi obojętne, czy Strzelecka gra lekkość przed czy po pojawieniu się Jędryska. Wiem tylko, że ta lekkość coś przypomina. Przypomina spektakl „Venezia, Venezia” wg Goldoniego, którym Pampiglione ongiś nas obdarował w Starym Teatrze. I przypomina niedawny dyplom aktorski na krakowskiej PWST, rzecz zatytułowaną „Pan de Pourceaugnac”, która była świetną fuzją komedii dell'arte i Moliera właśnie. Co się stało, że reżyser, którego stać było na puch - dziś sprzedaje ołów? Rzecz jasna - nie ma na to odpowiedzi. Ścisłej - tylko Pampiglione może coś powiedzieć. Nam pozostaje dzisiejszy Molier. Pozostaje brak Moliera.

Kompletna nieobecność zasadniczego nerwu tej genialnej farsy o umieraniu. Puste miejsce po gorzkim śmiechu, co nim Molier chlaskał swój własny strach przed ostatecznym końcem. Brak szans na trwożliwe myślenie o późnych wnukach „Chorego z urojenia” - o „Król umiera” Ionesco, albo o „Ostatniej taśmie Krappa” Becketta. To pozostaje, a na okrasę jakieś aktorów żałosne gierki z kompletnie obcą formą sfiksowanej komedii dell'arte, jeszcze jakieś nieudane pastisze koturnowych gestów teatru XIX wieku, jeszcze tylko nuda, tanie kabareto-we wycieczki do naszej medycznej współczesności - i już. Cóż począć? Teatr, co ma wnętrznosci trzeszczące w szwach od nadmiaru bylejakiej łatwości. To dostajemy. Zaciskamy więc kciuki. Oto bowiem wchodzi zbawiciel z czarną tuleją w garści. Czas jest najwyższy, by wreszcie się udało...

Jak to mawiał poeta? Był raz wieczór wymarzony i nadzieje płonne. Tak mawiał. Oto w kłuczowym momencie Grabowski nagle się prostuje i opuszcza szaty. Czarna tuleja traci cel. Jędrysek perliście gra teraz rozpacz maga lewatywy, dla którego dziś wieczór nie było łaski. Wszyscy odmówili. Jędrysek wychodzi - ołów zostaje w jelitach świata. Kurtyna. Może w polskim teatrze tak już ma być? Bijemy brawo, ale czujemy, że Jędrysek stoi w ciemnościach kulis i roni łzę. Znów więc szepcemy starą, naiwną śpiewkę. Jesteś lekiem, nadzieją, alfą, omegą,.... Strasznie jest. Tak strasznie, że wyłącznie tuleja nie płacze. Nadzieja nasza tylko w tym, że Teresa Orlovsky jednak nie zrazi się i wytrwa w słusznej decyzji.

**PAWEŁ GŁOWACKI**

**Teatr im. Juliusza Słowackiego. Molier „Chory z urojenia”. Reżyseria i ruch sceniczny Giovanni Pampiglione. Scenografia Santi Migneco. Muzyka Maciej Małecki.**